

**Konkurs literacki:**

**„Homo locum ornat, non locus hominem” („Człowiek zdobi miejsce, nie miejsce człowieka”) - poświęcony życiu i twórczości aktora Romana Wilhelmiego.**

Organizator: Fundacja Sceny na Piętrze TESPIS i Kuratorium Oświaty w Poznaniu

Autorka:

**Karolina Kubiak**

**uczennica kl. 2 a - III LO im.św. Jana Kantego w Poznaniu**

Promotor pracy: Róża Połec

***Byłem mistrzem, artystą, bo nie potrafiłem być zwyczajny...***

„Emanował talentem, nerwem scenicznym i osobowością, spalał się na scenie, dając z siebie wszystko. Reprezentował aktorstwo głębokie, ekspresyjne. Pozbawione pozy i efekciarstwa. Postaci, które tworzył, zapadały głęboko w serca widzów. Poruszały do głębi, tętniły prawdą przeżycia...” - tak pisał o aktorze Witold Sadowy.

” Postaci, które tworzył, zapadały głęboko w serca widza”?

Tym razem nie miał grać nikogo prócz siebie samego, a ja byłem pewna, że właśnie ta rola zapadnie głęboko w moje serce i pozostanie w pamięci.

Siedziałam w ciemnozielonym fotelu. Był listopadowy wieczór. Na zewnątrz budynku okropnie lało. Każdy, kto wchodził do środka, był przemoknięty do suchej nitki. Mnie udało się zdażyć przed deszczem. Wzięłam ze sobą parasol, ale nie użyłam go. Na miejscu byłam kilka godzin wcześniej, niż powinnam. Zaraz miał dołączyć do mnie Wielki Mistrz polskiej sceny aktorskiej - Wilhelmi. Roman Wilhelmi! Stresowałam się niesamowicie! Długo przygotowywałam się do planowanego na dziś wywiadu i ani razu nie pomyślałam, że się do tego nie nadaje. Nie sądziłam, że trema zacznie mnie zjadać tak łapczywie. Niecałe pięć minut przed poznanieniem Mistrza zaczęły mi się trząść ręce. Tyłu młodych aktorów, dziennikarzy próbowało wpisać się w grafik pana Romana. „Dlaczego wybrał akurat mnie?” - powtarzałam w kółko to samo pytanie. Zaprzatnęło ono moją głowę aż w tak wielkiej mierze, że obawiałam się, iż pierwszym moim zdaniem, wypowiedzianym w obecności Wilhelmiego, będzie właśnie to: „Dlaczego wybrał Pan akurat mnie... ?”

A przecież doskonale wiedziałam, o co pytać, co mówić... Zapoznanie się z jego bogatą biografią zajęło mi sporo czasu.

Urodził się 6 czerwca 1936 roku jako pierwszy syn Zdzisława i Stefanii Wilhelmi. Ma dwóch braci: Eugeniusza i Adama. W 1958 roku został absolwentem PWST w Warszawie. Był obsadzany w świetnych rolach (choć nie od razu). Grał w kultowych *Czterech pancernych i psie*, *Zaklętych rewirach*, *Karierze Nikodema Dvzmy...* Jego miastem rodzinnym jest Poznań, do którego zgodził się przyjechać specjalnie na wywiad ze mną, a w rozkwicie jego kariery mogą Mu przeszkodzić jedynie problemy z wątroba!

Mimo że to ja obserwowałam uważnie otoczenie, czułam na sobie wzrok kilkunastu innych ludzi, siedzących w cichej kawiarni. Było to klimatyczne miejsce. W tle grał fortepian. „Co jeśli się zaiaknę?” Pan Roman nie mógł pozwolić sobie w swojej pracy na taką niedogodność losu, dlatego i ja nie zamierzałam zrobić czegoś, wobec czego wyraziłby swoją dezaprobatę.

Usłyszałam krótką rozmowę przy wejściu, które znajdowało się za niewielkim parawanem:

- Czy zabrać od pana płaszcz?

- Tak, dziękuję.

Rozpoznawałam męski głos.

Naoglądałam się i nasłuchiwałam już tyłu wywiadów z Wilhelmem, że nie mogłabym go nie poznać! Kilka osób przede mną podniosło głowy. Niektórzy szybko je opuszczali, jakby bali się tego, co widzą. Inni zaś gapili się, jakby żywej duszy nie widzieli. A dusza Wilhelma była aż nadto żywa i kroczyła w kierunku mojego stolika!

- Witam pania - podał mi rękę.

Odwzajemniłam jego gest, a on ucałował delikatnie moją dłoń. Pochłoneło mnie jego przenikliwe spojrzenie. Zdawało mi się jakby ktoś odczytywał z moich oczu to, jakim człowiekiem jestem.

Nagle oprzytomniałam:

- Chwileczkę...właściwie, skąd Pan wiedział, kim jestem?- przecież nie miałam wypisanego na czole swojego nazwiska, a nigdy wcześniej się nie widzieliśmy.

Uśmiechnął się i usiadł naprzeciw mnie.

- Myśli pani, że ile już odbyłem podobnych wywiadów? - spytał, wyciągając papierosa. Nauczyłem się odróżniać zwykłych obserwatorów od wyczekujących na mnie, zestresowanych dziennikarzy, którzy za żadne skarby nie chcieliby, aby ktokolwiek zauważył ich zdenerwowanie, bo to mogłoby wyrazić ich brak profesjonalizmu - powiedział i wypuścił z ust chmurę dymu.

Mężczyzna założył nogę na nogę i szeroko rozłożył ręce.

- Zasadniczo nie jestem dziennikarką - zauważyłam.

Spojrzał na mnie z ukosa.

- Dzisiejszego wieczoru tak.

Miał rację. Postanowiłam nie przedłużać spotkania niepotrzebnie i od razu wziąć się do pracy.

No dobrze...- zerknęłam na swoje notatki, wydawały mi się puste, niekompletne.

- Jak ocenia Pan swoją drogę kariery? Była łatwa?

- Przepraszam, podać coś państwu?- wtrącił się kelner.

- Dwa kieliszki wódki, poproszę- odparł pan Roman.

- A dla pani?

- Ja dziękuję.

Młody mężczyzna, ubrany w czarną koszulę, odszedł od naszego stolika tak szybko, jak się zjawił.

- Ehem...- chrząknął Wilhelmi- A więc o czym my to...

- O drodze Pana ka...

- Kariery- dokończył za mnie- Cóż, to nie ja powinienem się wypowiadać, ale moi najbliżsi. Oni mnie obserwowali. Wiedzą, że moje życie nie było łatwe, a tym bardziej wspinanie się na szczyt kariery aktorskiej.

- Już się Pan na niego wspiął?

- Nie sądzę - zmarszczył czoło, jakby zamyślony, i znów wypuścił dym.

- Pańskie początki...

- Były dość trudne - znów mi przerwał.

- Właśnie. To tylko wina tamtych ciężkich czasów?

- Nie powiedziałbym. To też moja wina. Starałem się być najlepszy, za wszelką cenę musiałem być ponad wszystkim. Może powinienem być bardziej zdeterminowany...

- Nie uważa Pan, że i tak był i to bardzo? Większość Pana bliskich z tamtego okresu powtarza, że był Pan szalenie ambitny i nie zniechęcał się do pracy. To duży plus.

- Zwłaszcza w zawodzie aktora. Nie jest nam lekko. Zanim dostanie się jakiś konkretny scenariusz i rolę, mija sporo czasu.

- Tak było w Pana przypadku, prawda?

- Owszem. Już nazwisko skazywało mnie na niepowodzenie.

- Zbyt niemieckie, jak się domyślam.
- Dobrze się pani domyśla. Takie były czasy...
- A poza tym?
- Poza tym najzwyczajniej los mi nie sprzyjał. Kiedy miałem odbyć egzamin do szkoły aktorskiej, zorganizowany tutaj, w Poznaniu, w Teatrze Polskim, spuchła mi twarz. To wszystko przez bolący zab. Na szczęście zdarzył się cud. Jakoś mi się ta spuchnięta gęba otworzyła. Wyrecytowałem... sam dokładnie nie pamiętam, chyba *Grób Agamemnona*. I tak dostałem się do Szkoły Teatralnej w Warszawie. Do dzisiaj zastanawiam się, czyj Anioł Stróż nade mną czuwał. Na pewno nie mój. Mój pojawił się dopiero kilka lat później w postaci Stanisława Anioła!
- Mówi Pan o *Alternatywach 4*. To nie była Pańska największa rola.
- Naturalnie, że nie. Wręcz przeciwnie! To chyba moja największa telewizyjna przegrana. Natomiast największą rolą, a przynajmniej jedną z istotniejszych, był *Dyzma*. Zresztą nie mogło być inaczej. Sam czułem w sobie część *Dyzmy*. Musiałem zagrać tę rolę.
- Udało się to Panu. Chociaż, o ile mnie pamięć nie myli, w wywiadzie dla *Dziennika Zachodniego*, w numerze 130, wyznał Pan, że miał z Nikodemem pewien problem. Podobno nie chciał Pan odzwierciedlać karykatury Adolfa Dymszy?
- Zgadza się, pragnąłem pokazać ludziom *Dyzmę* prawdziwszego, wpasującego się w tamte czasy, w epokę. Nie mogło pójść lepiej. Nie spodziewałem się aż takiego sukcesu, ale nie ukrywam, że nie liczyłem na pozytywne recenzje. Tak samo, gdy wcieliłem się w postać Staszka Stosina w socrealistycznym filmie *Wiano*. Moja pierwsza poważna rola.
- Dobrze się w niej Pan czuł?
- Zgrałem tak naprawdę dupka. W takich rolach czułem się najlepiej. Czułem się jak ja.
- Przyszedł kelner z zamówieniem mojego towarzysza. Wysoki, młody mężczyzna ze spokojem rozłożył wszystko na niewielkim, drewnianym stoliku.
- Dziękuję - rzucił oschle.
- Twierdzi Pan, że jest "dupkiem"?
- Dokładnie tak, droga pani - wziął szybki łyk czystej wódki.
- Patrzyłam z niedowierzaniem. "Przecież to kawiarnia, dlaczego sprzedali mu wódkę?" Że też dopiero wtedy naszło mnie to pytanie. "Najwyraźniej zna to miejsce bardzo dobrze." - pomyślałam. - "A to miejsce zna jego."
- Skąd takie zdanie na swój temat?
- Życie nieraz dało mi to do zrozumienia. Mnie i nie tylko. Oberwało się wszystkim moim bliskim.
- Dobrze, że przynajmniej sam Pan to dostrzega. Z pewnością większość osób nie widzi tego, że rani ukochanych ludzi.
- To już bez znaczenia. Mówiliśmy o mojej karierze.
- Zbił mnie z tropu. Nieco wybita z rytmu zaczęłam przewracać kartki.
- Och, tak tak, chwileczkę... Wtedy... Rola Staszka Stosina przypadła Panu do gustu?
- To był zbuntowany chłopak, a ja do dzisiaj pamiętam, że jako młodzieniec robiłem wszystko na przekór mamie. Raz zbiłem szybę, podczas domowej gry w cymbergaja. Zasady były dla mnie powodem do prezentowania swojej indywidualności, wyjątkowości, mogłem je łamać. Wyrażałem przez to siebie, nie chciałem iść utartymi ścieżkami... Chociaż akurat ta szybka to dowód na to, że wszystko robiłem z mocą, siłą... Z sercem.
- Podobno bardzo szybko wyprowadził się Pan z domu rodzinnego?
- Rzeczywiście tak było. Szybko zacząłem też działania aktorskie. Stało się to całkiem przypadkiem, kiedy w Aleksandrowie zetknąłem się z zespołem artystycznym. Ksiądz Siuda golił nam głowy za palenie papierosów. Tak się złożyło, że zauważył, gdy ja paliłem. Do przedstawienia potrzebował łysego, małego Chrystusika. W koszyku przenieśli mnie z jednej kulisy w drugą. Bycie na scenie, obcowanie z nią, przypadło mi do gustu... A co do wyprowadzki... Mój brat zazdrościł mi tego, że kiedy oni, bo miałem dwóch braci, tkwili w rygorze, ja już dziękowałem mamie, że mnie w nim trzymała.

Jednak cieszyłem się, że wydostałem się z domu i mogłem rozpocząć dorosłe życie.

- Nie bał się Pan wiążących się z tym obowiązków?

- Nie myślałem o nich. Wciąż najważniejsze były dla mnie role, które miałem grać. Tak naprawdę chyba nigdy nie stałem się dorosły psychicznie i emocjonalnie. Wytknięto mi to, kiedy zaferowano mi mieszkanie, samochód... A ja odrzuciłem ich propozycje. Ciągle męczę się z tym maluchem, którego zdarza się, że trzeba pchać.

- Dlaczego nie zmieni go Pan teraz, kiedy zauważa, że przydałoby się Panu nowe auto?

- Brak czasu, chęci... Poza tym, to tylko auto. Nieważne, tak samo jak drobna rólka w *Krzyżakach*.

- Nie cieszy się Pan, że mógł zagrać w tak istotnym dla polskiej kinematografii filmie?

- Gdybym grał w nim Zbyszka, może jakoś bym to zniósł...

- Niewielkie role są niezwykle ważne dla całokształtu filmu. Takie jest moje zdanie.

- Widzi pani, moje jest podobne, z tą różnicą, że dla siebie, jako aktora, wyznaczyłbym ważniejszą rolę. To może się wydawać egoistyczne, ale każdy aktor powinien mieć coś z egoisty.

- Dlaczego tak Pan twierdzi?

- To proste. Gdyby nim nie był, nigdy nie odnalazłby się w roli pierwszoplanowej. Aktorstwo to nie taka prosta sprawa. Na scenie pojawia się kolejna trudność - widz. Może mieć znaczny wpływ na grę aktora, ale nie powinien zbyt mocno go poruszać." Nie wierze w aktorstwo teatralne różne różnych wieczorów. Z nieufnością słucham opinii typu: „On był wczoraj znakomity”, bo nie wierze, żeby mogły być tak znaczne różnice. Jeśli jest rola przygotowana dobrze, można być bardzo dobrym lub porwijacym, ale nie jednego dnia znakomitym a drugiego fatalnym. Takie przeskoki mają tylko amatorzy. Po to ma się dyplom, żeby uniknąć improwizacji. To jest zawód i trzeba po prostu umieć go wykonywać." Te słowa powiedziałem przeszło 30 lat temu w *Głosie Wybrzeża* i wciąż je pamiętam, a zdania nie zmieniam.

- Ja pamiętam, że powiedział Pan wtedy: "Zawód ten uprawia się dla ludzi, nie dla siebie. Jedyną rzeczą, dla której warto ten zawód uprawiać, jest publiczność." Więc aktorzy to jednak nie tacy wielcy egoiści...

- To zależy od punktu spojrzenia. My, to jest aktorzy, jesteśmy dla widza, ale żeby dla niego być, trzeba najpierw stać się w pewnym stopniu egoista i chociażby egoistycznie obejść się z tremą, powiedzieć jej prosto w oczy, że to nie ona jest ważna, ale my i bohater, w którego mamy się wcielić.

Wilhelmi wziął kolejny szybki łyk wódki. Pomyślałam, że jeśli dalej tak pójdzie, to będę odpowiadała za upicie jednego z najlepszych polskich aktorów.

Meżczyzna, siedzący naprzeciw mnie momentalnie posmutniał. A przynajmniej tak mi się wydawało w tamtej chwili. Wskazywały na to jego wyraźne zmarszczki i rysy twarzy. Nagle, w jego zapatrzonych w pusty kieliszek oczach, dostrzegłam zagubionego, bezbronного chłopca, który został osierocony. Nie mijalo się to z prawdą. Pan Roman przecież został osierocony przez swoje miłości, przez syna. Było mi go żal i chciałam go jakoś pocieszyć, ale bałam się jego reakcji. Dlatego postanowiłam wyrwać go z rozważań.

- A praca na planie *Czterech pancernych i psa*? Podobała się Panu?

Oderwał wzrok od kieliszka, westchnął głęboko i nie patrząc na mnie, odparł:

- Ten film przyniósł mi popularność, emocje towarzyszące lataniu śmigłowcem i jeździe czołgiem. Natomiast Dyzmę musiałem grać, w *Pancernych* wystarczyło być.

Ale kiedy tam *byłem*, narzekałem na brak zainteresowania mna jako aktorem. Nie chciano obsadzać mnie w innych rolach. Dlatego odmówiłem, kiedy twórcy filmu chcieli wskrzesić Olgerda, mojego bohatera. Początkowo myślałem, że to moi koledzy po fachu mieli szczęście, bo ich postacie miały mieć dłuższy żywot. Jednak potem przywykłem do bycia Olgerdem.

- Więc początkowo nie był Pan zadowolony z roli, jaka dla Pana wyznaczono?

- Cóż, z pewnością nie tak bardzo, jak wtedy, gdy zaproszono mnie na zdjęcia

do *Popiołów* Żeromskiego w reżyserii Wajdy. Byłem cholernie podekscytowany, mimo że było wiadomo, iż to Olbrychski zagra główną rolę.

- To Pana nie zniechęciło do dalszej pracy, prawda?

- Nie zamierzałem się poddawać po przegraniu jednej walki. Oczywiście, kiedy dotarło do mnie, jak wygląda rzeczywistość, poczułem się strasznie źle. Ale tak już musiało u mnie być, i w życiu prywatnym i na scenie, wszędzie euforia i rozpacz na zmianę.

Zauważyłam, że Wilhelmi ciągle czymś się zadreślał w myślach. To było związane z jego życiem prywatnym, najwyraźniej.

- A co robił Pan w latach 70.?

- Miałem wtedy sporo pracy... Grywałem w szczególności w serialach dla młodzieży. Miło wspominać współpracę z chłopakami z *Wakacji z duchami*. W ogóle dobrze dogadywaliśmy się z Jedryką, reżyserem. Grałem też w filmie Różewicza *Westerplatte*. Ciągle grałem też w teatrze, teatrze Ateneum. I w końcu zauważono mój talent. Dostałem wiele ciekawych ról, m.in. Duperrta w *Meczeństwie i śmierci Marata* albo gestapowca Williego w *Niemcach*. W teatrze bardzo się pościłem.

- Jak sobie z tym Pan radził?

- Początkowo? W ogóle. Poprosiłem o radę Śląska, która doradziła mi, abym przed każdym spektaklem wypił setę whisky - tutaj przerwał i odwrócił się- Kelner! Poproszę jeszcze raz to samo.

Poczułam się jak na jego przedstawieniu.

- W końcu rąbnąłem dwie sety- dokończył.

- Jak to się skończyło?

- Dla mnie? Tragicznie. Na szczęście mój bohater miał więcej szczęścia.

Wyczuwałam podtekst dotyczący jego problemów z alkoholem.

- Cóż... A co może Pan powiedzieć w sprawie zagranicznych spektakli?

- Zagranicznych spektakli?- powtórzył po mnie.

- Dokładnie. Pamięta Pan swój występ w Oslo?

Aktor zaczął się głośno, wręcz komicznie, śmiać. Ludzie dookoła nas (ci, którzy postanowili nie obserwować nieustannie Wilhelmi) zaczęli pochłaniać wzrokiem zachowanie Mistrza. Potrafił zwrócić na siebie uwagę.

- Powiedziałaś coś nie tak?

- Pani? Ucieleśnienie ostoji i zupełnego mojego przeciwieństwa? Ależ skądże!

Mężczyzna cały czas chichotał.

- Więc czemu zawdzięczam tak przyjemny śmiech?

- W Oslo zdarzyła mi się ciekawa historia. Mnie, po tylu latach, śmieszy. Jednak nie wszyscy odbierają tamto zdarzenie tak pogodnie jak ja dzisiaj.

- Co ma Pan na myśli?

- W Norwegii graliśmy *Peer'a Gynt'a*. Początkowo mieliśmy dać przedstawienie na jakiejś niezbyt przyjemnej scenie, dlatego szybko odnalazłem amfiteatr. Nosił nazwę *Sonia Henies*, był piękny! Podczas pierwszej próby na balkonie pojawili się jacyś ludzie i zaczęli komentować to, co robiliśmy. Nie powstrzymałem swojego temperamentu i zdenerwowany wyrzuciłem ich. Okazało się, że był to następca norweskiego tronu.

Nie mogłam uwierzyć. "Następca?!"

- No, niech paniemka zamknie buzię, nie ma się co dziwić. Różnie w życiu bywa - dodał.

- Tak, oczywiście, ja tylko... Miał Pan niesamowite szczęście.

- Nazwałbym to raczej pechem. Chociaż racja, ogólnie w Oslo los mi sprzyjał. Sam pan Mue, muzyk norweski, pogratulował mi i przeprosił za swoją wcześniejszą nieprzychylność. Podobnie uczyniła tamtejsza gazeta.

- Pierwsze duże sukcesy, tak?

- Można tak powiedzieć. Mieliśmy wtedy taki czas, że chodziliśmy na kolacje do Spatifu. Była tam sama śmietanka towarzyska. Przychodzili sami ciekawi ludzie, których podziwiałam, kiedy przedstawiali swoje anegdoty, dowcipy... To było dla mnie życie. Coś niesamowitego. Mogłoby to tak trwać, ale przez aferę związaną z wyjazdem do Paryża z *Tramwajem* musiało się skończyć. Miałem problemy z paszportem.

- I co Pan wtedy zrobił?

- Właściwie sam nie wiem. Chyba mentalnie nie byłem świadom tego wszystkiego. Nie chciałem osiadać w małym mieszkanku przy Chemskiej 27. Nie potrafiłem wrócić do normalności. Gdy przychodziłem późnym wieczorem, tłumaczyłem się, wymyślając jakieś dziwne historijki... Pamiętam jak raz znalazłem się w szpitalu na Szolcu, który był niedaleko teatru. Kiedy lekarz zadzwonił do mojej żony, ona była spokojna. Prawdopodobnie już wtedy nie mogła znieść mojego zachowania. A ja tylko się śmiałem jak małe dziecko.

Pozostało mi jeszcze kilka innych pytań, jakie chciałam zadać Wilhelmiemu. Usłyszeliśmy głos kelnera, który pojawił się nad naszym stolikiem.

- Przepraszam, zaraz zamykamy.

Rozejrzałam się dookoła. Nawet nie zauważyłam, kiedy wszyscy pozostali goście opuścili lokal. W środku zostałam tylko ja i Mistrz.

- Rozumiemy, już i tak kończyliśmy- odezwał się Wilhelmi.

Chciałam zaprotestować, ale nie miałam odwagi przeciwstawić się takiemu autorytetowi.

Ubraliśmy się i wyszliśmy z kawiarni. Gdy się żegnaliśmy, Wilhelmi zaproponował:

- Masz może jeszcze chwilke? Mam ochotę pójść w pewne miejsce.

Zgodziłam się bez wahania. Domyslałam się, że Wilhelmiemu nie zależało na tym, abym to akurat ja mu towarzyszyła podczas spaceru, ale liczyłam, że w międzyczasie uda mi się jeszcze poruszyć kilka tematów związanych z wywiadem.

Szliśmy ulicą 28 Czerwca 1956r. Byłam prawie pewna, dokąd zmierzał. Celem podróży był jego dawny dom, który znajduje się u zbiegu ul. Sikorskiego i Przemysłowej. Na dworze nadal było szaro, ponuro. Miałam rację. Wilhelmi odpowiedział na wszystkie moje pytania. Można powiedzieć, że wyczerpałam temat. Wtedy stało się coś, czego się nie spodziewałam. Aktor zawsze bronił swojej prywatności, ale nagle sam zaczął ten temat, temat jego uczuć...

Patrzył na zakratowane okno, stojąc w swoim ciemnym płaszczu ze zmarszczonym czołem i wypuszczając kolejne chmury dymu. On był pochłonięty obrazem domu, swoimi wspomnieniami, a ja jego wyglądem i słowami.

- Wiesz, byłem mistrzem, artystą, bo nie potrafiłem być zwyczajny. Nie byłem dobrym mężem, ojcem... Zatraciłem się w pracy, bo jeden upadek w życiu prywatnym pociągał za sobą kolejny. Wybierałem drogę trudniejszą – albo grać to, co mnie interesuje, albo wcale. W pewnym momencie życie osobiste przestało się dla mnie liczyć, była tylko sztuka, bo grając, byłem kimś. Miałem wrażenie, że dla rodziny byłem problemem, pijakiem... Nawet syn potrafił mnie docenić jedynie na scenie. Tak wiele bym dał, aby go dzisiaj za to przeprosić.

Pan Roman był pełen żalu... Nie byłam w stanie mu pomóc. Nie mogłam cofnąć czasu. Mogłam jedynie go wysłuchać. Wsłuchując się w jego słowa, poznając go, zdałam sobie sprawę, jak wiele człowiek musi przeżyć, aby stać się człowiekiem i... aby naprawić błędy z przeszłości.

„Powinniśmy żyć chwila, póki mamy dar życia...” - pomyślałam, patrząc na tablice zamieszczoną przed domem Mistrza. Hmm... Niezwykłe i tajemnicze było to spotkanie...

Karolina Kubiak